

dom, no i ogród. W głowie natychmiast zaroilo mi się od pytań. Czy w takim razie Tintik osobiście znał moich pradziadków, którzy nasz dom wybudowali? I moją babcię w czasach jej własnego dzieciństwa? Czy to prawda, że babcia faktycznie była takim urwisem, za jakiego się podaje, i prowadziła na smyczy oswojoną jaszczurkę?

Tintik cierpliwie wysłuchał moich pytań, ale nie odpowiedział na żadne. Ożywił się dopiero, gdy zapytałam, czy pokaże mi swój domek.

– W żadnym wypadku! – zafurkotał nerwowo skrzydełkami. – To tajemnica, którą elfy nie dzielą się absolut-

nie z nikim! – dodał i na wszelki wypadek, gdyby jednak przyszło mi do głowy nurkować za nim w zarośla, powstrzymał mnie gestem maleńkiej dłoni.

Przez chwilę stał ze zmarszczonym czołem, w końcu rzekł:

– Co najwyżej mogę... – kolejne zmarszczenie, tym razem miniaturowego noska. – Taaak, dlaczegóż by nie? – Jego głos przybrał figlarny ton, a na twarzy pojawił się szelmowski uśmiezek. – Czekaj tu! – zakrzyknął i znikł mi z oczu.

Minął dobry kwadrans. Znów dokuczał mi upał, o którym na chwilę udało mi się zapomnieć, i znów zasłuchałam się w śpiewy czyżyków. Zaczęłam się też zastanawiać, czy Tintik dotrzyma słowa i wróci, czy jednak, z jakichś sobie tylko wiadomych przyczyn, wystawi mnie do wiatru. Wiedziałam aż nadto dobrze – eksperci od elfów byli w tym temacie zgodni jak jeden mąż – trzecią, po płochności i talencie do konspiracji, cechą rozpoznawczą elfa jest, niestety, złośliwość. Nie zdziwiłabym się wcale, gdyby wyszło na to, że mój mały kompan ukrył się w krzakach wyłącznie po to, by obserwować, jak obgryzam z nerwów paznokcie i z niesmakiem trącam słomką muchę utopioną w szklance z lemoniadą.



bardzo, a po jej buzi udekorowanej wężami z jagód błąka się idiotyczny uśmieszek.

– O coś ci chodzi? – nie wytrzymałam w końcu.

– Och, o nic takiego – wzruszyła ramionami, choć widziałam, że ściemnia. – Może tylko o to, jaka jestem domyślna, przewidująca, *superwoman* po prostu! – dodała i skromnie spuściła oczy, jak jakaś pensjonarka ze staroświeckiej powieści!

– Za chwilę cię zamorduję – oświadczyłam bez żartów.

– Wrr, dementor ma więcej poczucia humoru od ciebie! – odgryzła się, nawiązując do swojej ulubionej książki o czarodziejach z Hogwartu.

– Tak, zwłaszcza gdy ci we śnie odgryza głowę – zgodziłam się.

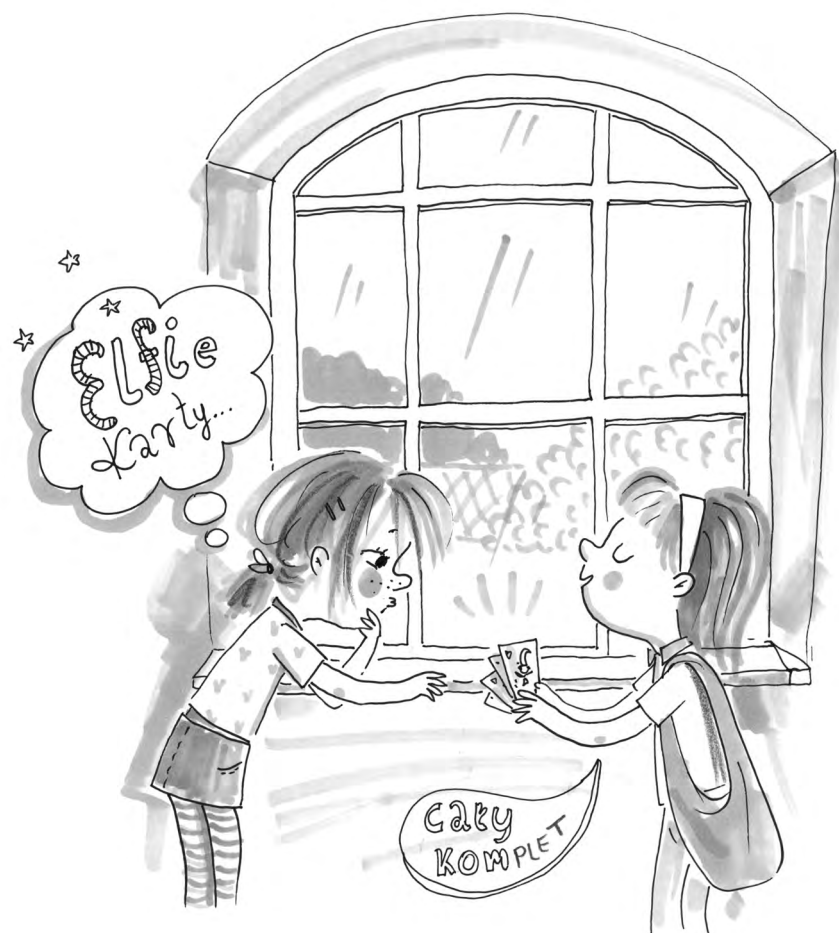
Nic już nie powiedziała, tylko sięgnęła do szmacianej torebki, którą miała przewieszoną przez ramię. Ciekawe, dopiero teraz spostrzegłam, że w ogóle ją ma. Wyjęła z niej płaskie, błyszczące pudełeczko.

– Co to jest?

– Talia elfich kart! – odrzekła. – Pomyślałam, że skoro pogoda jest do bani, to przyda nam się na rozweselenie.

Elfie karty były prezentem od jej cioci, przysły wczoraj pocztą. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś tak

cudownego. Na grzbietach miały rysunek przedstawiający baśniowy ogród i grupę elfów odpoczywających pod kwiatami, a cały obrazek wykonano z taką precyzją i dbałością o szczegóły, że można było dostrzec pojedyncze żyłki na liściach i sznurówki na tych trzewikach. W roli figur też występowały elfy: chłopiec na tronie z maków jako król, chłopiec z trąbką schowany pod stokrotką jako

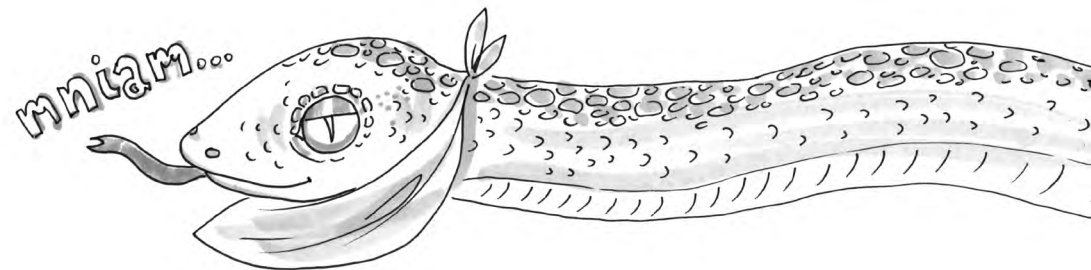


Słowo „wcinać” uruchomiło w mojej skołatanej głowie lawinę skojarzeń. Przypomniałam sobie worek z truchłem i mimowolnie ujrzałam w myślach łuskowatą bestię zajadającą się smakowitym obiadkiem ze zdechłego kreta, aż trzeszczała jej żuchwa (sprawdzić lub zapytać panią Orlicz: czy węże posiadają żuchwę?). Obrzydzenie rozlało mi się po ciele gęsią skórką, ale mimo to jakimś nadludzkim wysiłkiem uśmiechnęłam się, a nawet jak gdyby nigdy nic odpowiedziałam:

– Czemu nie? A jak tam beznogi i bezręki ulubieniec pana znajomego?

Woźny zbystrzał, nie zrozumiał w pierwszej chwili, o co mi chodzi, ale moment później uderzył się ręką po kolanie.

– A, chodzi ci o Eszkę? Miewa się wyśmienicie. A skoro już przy nim jesteśmy, to opowiem ci pewną niesamowitą historię! – Poprawił się na krześle i odchrząknął, przygotowując gardło do dłuższej przemowy. – Mój przyjaciel przygarnął Eszkę ze schroniska. Tam biedne stworzenie wylądowało po tym, jak policja, zaalarmowana przez mieszkańców, znalazła je porzucone na klepisku, z którego odjechał cyrk. Czy to nie zbrodnia, jak pragnę zdrowia, pozbywać się żywego stworzenia tylko dlatego,



że się zestarzało? W każdym razie ma ta gadzina taką manierę, że najchętniej zastyga w pozycji przypominającej literę „S” i potrafi tak trwać bez ruchu całymi dniami. Z braku pomysłu znajomy tak więc go nazwał: „Eska”. Niestety, choć zwierzak pracował w cyrku i można sądzić, że z tego powodu jest bardziej kumaty i podatny na tresurę niż inni jego pobratymcy, nie udało się przyuczyć go do reagowania na imię. Aż któregoś dnia do znajomego przyszły wnuki. Najmłodszy, Jasio ma na imię, do przedszkola jeszcze chodzi, a bystrzejsza jest bestyjka niż niejeden dorosły. Mówi więc ten Jasio do dziadka: „Dziadziu, a wiesz, że jak twój wąż język wysuwa, to mówi przy tym tak: »eszsusza, eszsusza«. Słyszałeś? Może ty źle jego imię wymawiasz? Może on jest zza granicy, a tam zamiast »s« mówią »sz«?”. Mój znajomy ucha nadstawił, sam słucha. Rzeczywiście! Nachylił się więc jeszcze bardziej nad akwarium i zawołał na węża: „Eszka”. I zgadniesz, co się wtedy stało? – woźny Chruściel zastygł w wyczekującej pozie.